

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

GRACE

Użyłam telefonu Koeniga, żeby zadzwonić do Isabel. Razem z policjantem spędziliśmy godzinę, krążąc wśród krzaków, licząc martwe zwierzęta i sprawdzając, czy Sam je rozpoznaje. Siedem wilczych ciał, w tym Beck. Wciąż nie odnaleźliśmy zwłok Shelby i Cole'a.

W tym czasie Sam tylko stał, spoglądając w las, z dłońmi splecionymi za głową. Był to gest, który należał do niego, a jednocześnie przypominał mi Becka. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek powiedziałam o tym na głos. Nie wiedziałam, czy wspominając mu o tym teraz, pomogłabym, czy tylko sprawiła większy ból.

– Isabel... - zaczęłam.

Tylko westchnęła.

– Wiem. Jak się trzymasz?

Jej głos brzmiał obco. Pomyślałam, że może płakała.

– Och, jak zwykle. Mam szlaban do końca życia, czyli gdzieś do przyszłego tygodnia, gdyż potem mnie zabiją. Siedzę w swoim pokoju, bo już zmęczyły mnie wrzaski.

To wyjaśniało jej zachrypnięty głos.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Niepotrzebnie. Dotarłam tam trochę za późno, co?

– Nie zdręczaj się tym, Isabel. Wiem, że lubisz to robić, ale nie byłaś wilkom niczego winna, a i tak im bardzo pomogłaś.

Długo milczała i zastanawiałam się, czy mi uwierzyła. W końcu się odezwała:

– I wysyłają mnie do Kalifornii do Babci, dopóki nie uda im się sprzedać domu.

– Co?!

Zareagowałam tak ostro, że aż Sam zerknął w moją stronę, ściągając brwi.

– Tak – potwierdziła dziewczyna głosem wypranym z emocji. – Po egzaminach końcowych pakują mnie i wsadzają w samolot. Isabel Culpeper. Oto, jak skończyła. Wraca do Kalifornii z podkulonym ogonem. Myślisz, że jestem słaba, ulegając im?

Teraz to ja westchnęłam.

– Jeśli masz szansę na naprawienie stosunków z rodzicami, myślę, że powinnaś to zrobić. Oni cię kochają, nawet jeśli twój tata to kretyn... Co nie oznacza, że chcę, żebyś wyjechała. – Isabel w Kalifornii...? – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewna, że nie zmienią zdania?

Prychnęła drwiąco. To był surowy dźwięk niczym świeżo otwarta rana.

– Podziękuj jej – poprosił Sam.

– Sam kazał ci podziękować.

Isabel roześmiała się twardo. „Ha. Ha. Ha”.

– Za to, że opuszczam granice stanu? – zapytała.

– Za to, że uratowałaś nam życie.

Przez chwilę milczaliśmy. Znad jeziora dotarł do mnie krzyk nura. Gdybym nie miała świadomości, że byłam tu dziś rano, w ogóle bym tego nie pamiętała. Dla wilka to miejsce wyglądało zupełnie inaczej.

– Nie wszyscy przeżyli – zauważyła Isabel ponuro.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć; paskudna prawda. To nie była jej wina, a jednak nie mogłam zaprzeczyć jej słowom. Więc zamiast tego poinformowałam ją:

– Jesteśmy na polu. Gdzie był Cole... eee... kiedy...
– Przy drodze jest nasyp – przerwała mi. – Znajdź ślady opon. Leżał kilka metrów... Muszę
kończyć. Ja...

Telefon zamilkł.

Westchnęłam i przekazałam jej wskazówki Samowi i Koenigowi. Wkrótce dotarliśmy do ciała Shelby, które było w zaskakująco dobrym stanie – z wyjątkiem głowy tak zmasakrowanej, że nie mogłam na nią patrzeć. Wokół było mnóstwo krwi.

Chciałam jej współczuć, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, że to przez nią Cole nie żyje.

– Wreszcie odeszła – skwitował Sam. – Zginęła jako wilk. Myślę, że tego właśnie chciała.

Trawa wokół Shelby była czerwona. Nie wiedziałam, jak daleko od niej padł Cole. Czy to była jego krew? Sam przetykał ślinę, patrząc na jej ciało, i wiem, że poza potworem widział coś jeszcze. Ja nie potrafiłam.

Koenig wymamrotał, że musi wykonać telefon i odszedł kawałek dalej, dając nam trochę prywatności.

Dotknęłam dłoni Sama. Stał w takiej kałuży krwi, że wyglądał, jakby też był ranny.

– Jak sobie radzisz?

Potań bezradnie ramiona. Słońce zachodziło i zaczęło się robić chłodno.

– Podobało mi się to, Grace.

Nie musiał wyjaśniać. Wciąż pamiętałam uczucie radości na jego widok, gdy dołączył do mnie jako wilk, nawet jeśli nie pamiętałam wtedy jego imienia. Przypomniałam sobie, jak wymienialiśmy się obrazami, pędząc na czele sfory. Wszyscy ufali mu tak jak ja.

– To dlatego, że radziłeś sobie znacznie lepiej – powiedziałam cicho.

– Nie – potrząsnął głową. – To dlatego, że wiedziałem, że to nie jest na zawsze.

Dotknęłam jego włosów, a on pochylił głowę, by mnie pocałować. Był to pocałunek cichy jak tajemnica. Przytuliłam się do jego piersi i razem staliśmy tak, chroniąc się przed chłodem.

Po kilku długich minutach Sam odsunął się i spojrzał w las. Przez chwilę myślałam, że nasłuchuje, ale przecież już żaden wilk nie mógł zawyc w lesie Boundary.

– To jeden z ostatnich wierszy, których Urlik kazał mi się nauczyć na pamięć – powiedział:

*endlich entschloss sich niemand
und niemand klopfte
und niemand sprang auf
und niemand öffnete
und da stand niemand
und niemand sprach: willkommen
und niemand antwortete: endlich**

– Co to znaczy? – zapytałam.

Początkowo nie sądziłam, że odpowie. Mrużył oczy w zachodzącym słońcu, spoglądając w las, do którego uciekliśmy dziś rano, choć zdawało się, jakby to było wieki temu. Potem skierował wzrok na drzewa, pośród których do niedawna żyliśmy.

Tak bardzo zmienił się od czasu, kiedy znalazłam go krwawiącego na tarasie. Tamten Sam, był nieśmiały, naiwny, łagodny, zagubiony w swoich piosenkach i słowach. Zawsze będę kochała tamtą wiersję jego. Ale ta zmiana była dobra. Stary Sam nie przetrwałby tego wszystkiego. Jeśli chodzi o ścisłość, dawna Grace też nie.

* C. Reining, :Endlich”.

Wyszeptał, patrząc na las Boundary:

*i w końcu nikt nie podjął decyzji
i nikt nie zapukał
i nikt nie przyskoczył do drzwi
i nikt nie otworzył
i nie stał tam nikt
i nikt nie wszedł
i nikt nie powiedział: witaj
i nikt nie odrzekł: w końcu.*

Nasze wieczorne cienie były wysokie jak drzewa. Porośnięty krzakami otwarty teren przypominał obca planetę. Płytkie zagłębienia wypełnione wodą nagle załśniły na pomarańczowo i na różowo, pożyczając barwę od zachodu słońca. Nie wiedziałam, gdzie jeszcze moglibyśmy szukać ciała Cole'a. Nie było po nim żadnego śladu poza kałużami krwi, która kroplami znaczyła trawę wokół.

– Może dowlóknął się do lasu – zasugerował Sam bezbarwnym głosem. – Może instynkt nakazał mu szukać schronienia, nawet jeśli umierał.

Serce zaczęło mi szybciej bić.

– Myślisz, że...

– Stracił za dużo krwi – przerwał mi Sam, nie patrząc na mnie. – Spójrz na to wszystko. Pomyśl, że ja nie byłem w stanie uleczyć się po jednym postrzale w szyję. Nie mogło mu się udać. Mam tylko nadzieję... Mam tylko nadzieję, że się nie bał, kiedy umierał.

Nie powiedziałam na głos tego, co sobie pomyślałam, że przecież wszyscy boją się w obliczu śmierci.

Na wszelki wypadek przeczesaliśmy skraj lasu. Dalej szukaliśmy, mimo że zapadły już ciemności, bo oboje wiedzieliśmy, że węch i tak pomoże nam bardziej niż wzrok.

Ale nie znaleźliśmy żadnego śladu Cole'a St. Claira. Chłopak zrobił wreszcie to, co wychodziło mu najlepiej.

Zniknął.